

Złote gwiazdy na tle lazuru

5 września 2017

Idea jedności Europy przeżywa kryzys, a wielu obserwatorów mówi o jej zmierzchu. Perturbacje ekonomiczne, nacjonalizm, zawirowania geopolityczne to bezpośrednie przyczyny obecnej sytuacji. Ale w istocie objawiają one tylko słabości projektu europejskiego od początku tkwiące w samym jego sercu.

Na początku budziła wielkie nadzieje. Święty Tomasz i Victor Hugo, szczęśliwa mieszanina ducha chrześcijańskiego i zapowiedzi humanitaryzmu, wielkoduszności i wiarygodności. Tak zaczął się niepowstrzymany marsz ku zjednoczeniu narodów pod globalnymi rządami (podobnie, jak niewiele wcześniej marsz regionów ku państwom narodowym) – z mocnym i nieco prostackim przekonaniem, że „w jedności siła”. Do tego doszedł jeszcze, jak sygnatura, cień rzucany przez Europejczyka, Paula Valéry’ego. Lecz Unia Europejska raczej nie jest tą upragnioną przez niego „możliwą Europą”. Nie miało to być odrodzenie Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, lecz Europa Alberta Camus i „myśli Południa”: śródziemnomorska i słoneczna, pokryta patyną katolicyzmu, na starość humanistyczna, bliższa Rzymowi niż Frankfurtowi. Zaczynała się w Algierze, przechodziła przez Aleksandrię, mijała Bejrut, robiła postój w Atenach, zahaczała o Stambuł, a potem przez włoski but i półwysep iberyjskie pięła się na Północ. Dość rzec, że do języka, do geometrii i do imaginarium przywiązywała taką samą wagę, jak my dziś do indeksu Dow Jones i do stawki podatku od przedsiębiorstw.

EUROPEJSKA INTRYGA

Dzieje powszechne niejednego mają królika w swoim szapokłaku. Sprawily więc, że zasada amerykańska wygrała w miejscu, które miało być przeciwwagą, a dla niektórych konkurencją USA, w Stanach Zjednoczonych Europy. Oto cud hegemonii – inni realizują twoje plany. To także cud miłości. Młoda powojenna

Ameryka dawała się kochać, czego nie dało się powiedzieć (i nic dziwnego) o jej ówczesnym rywalu, Związku Radzieckim. A kto kocha, naśladuje. Nie jest więc czymś niezwykłym, że Zjednoczona Europa Przyszłości pragnęła ukonstytuować się, rozciągając na Stary Kontynent dogmaty i sposoby zachowania Nowego. Tyle włożyć wysiłku w wymazanie swojej osobowości, tyle entuzjazmu w niszczenie własnego DNA – niezły materiał na teatralny dramat. Unia Europejska to maszyna antypolityczna, lecz wielu marzy się, że zostanie ona politycznym aktorem, a nawet, że pewnego dnia stanie się potęgą – choć racją jej bytu jest ucieczka przed każdą myślą o potędze.

Przedstawmy pokrótce całą intrygę. Socjaldemokraci i chadecy, główne dramatis personae, tuż po wojnie – chcą zapobiec jej powrotowi – wpadli na znakomity pomysł: sprawić, by wspólne dobro wygrywało z partykularnymi interesami. Na grzech narodowy – federalne odkupienie. Zgoda! Dlaczego nie? Po czym zobaczyliśmy, jak lokalni socjaliści burzą osłony socjalne i niszczą państwo – jedyne i ostatnie dobro tych, którzy nie mają żadnych dóbr, jak rozmontowują służby publiczne i prawem najwyższym czynią prawo zysku. Jednocześnie duchowi przedsiębiorcy produkują istotę bez duszy i bez serca, prostacko materialistyczne ludzkie skupisko, gdzie królem jest lobby, wrogiem uchodźca, a królową kalkulator. Unia Europejska nie przeszła do historii. Ona wcale do niej nie weszła.

Nigdy, na niczyjej ziemi nie widzieliśmy, żeby pod flagą zdobną w wziętą z Apokalipsy koronę ze złotych gwiazd, utworzyła się jakaś armia. Nie ujrzeliśmy, by jakiś brukselski herold postawił czemukolwiek weto, by zwołał pokojową konferencję, by wywołał czy zakończył wojnę. Nie leży to w charakterze UE. To przez umowy między rządami, przez roztropną, klasyczną współpracę suwerennych państw, zrodziły się takie wielkie europejskie sukcesy, jak Airbus i Arianespace, które większe mają znaczenie dla sprawy niż instytucjonalny artefakt, którego wkładem było zaimplantowanie kapitalizmu finansowego, obcego zarówno modelowi reńskiemu,

jak kolbertowskiemu. Znakomitym pomysłem, mimo skromnych rozmiarów, okazał się też program uniwersyteckiej wymiany Erasmus: 33 biorące udział kraje, 1,3% unijnego budżetu, 3 tys. stypendiów rocznie, głównie dla szkół handlowych i inżynierskich, 3% studentów francuskich, z czego 1% studentów uniwersytetów, którzy wyjechali studiować za granicę. W średniowieczu mobilność studentów była większa, niemniej programowi należy się pochwała.

JAK UMIERAJĄ RELIGIE POLITYCZNE

Kult europejskości to pierwsza świecka religia, która swym wyznawcom nie może zaoferować żadnego dowodu tożsamości, chyba że za taki uznać karty do gry w „Monopoly”. A na pocieszenie za niemożność stworzenia wspólnej opowieści, bank oferuje im wspólną walutę, wraz z kryjącą się za nią ideą rozszerzających się granic. Zastępowanie intensywności ekstensywnością, robienia lepiej byciem dalej, formuła „go east young man” – to sprawdza się na kontynencie, gdzie przestrzeni jest mnóstwo, a różnorodności mało, lecz nie na naszym, tak ciasnym i tak zróżnicowanym.

Niszczyć poczucie przynależności nie zastępując go niczym innym, to zawsze ryzykowne przedsięwzięcie. Istnieje niebezpieczeństwo powrotu do plemienności – fałszywa odtrutka na prawdziwą truciznę. Religie polityczne – a proeuropeizm, na swój pośredni i niewyraźny sposób jest taką religią – usychają dość szybko, brak im bowiem soków żywotnych, brak im podstawy i kręgosłupa. Mit Europy uwiadł wyjątkowo prędko, a to z tej przyczyny, że chciano zakorzenić go w tekście konstytucji – nie dbając o wspólny język, wspólną pamięć i wspólne legendy. Suchy, bezcielesny patriotyzm zwany konstytucyjnym pozostawił miejsce tylko na wymianę handlową, lekceważąc to, co nadawałoby mu sens, czyli wymianę duchową.

Cóż jest europejskiego w naszej Europie pokrytej niebieskim płaszczem supermarketów (jak wcześniej „białym płaszczem kościołów”), pośród których wyrastają gdzieś muzea w

kształćcie blockhausów, w których ziewając wypełniamy kulturalne obowiązki? Więcej było Europy w czasach klasztorów, w czasach, gdy Kolombian Młodszy zakładał we wszystkich zakątkach kontynentu opactwa. Więcej jej było w czasie bitwy pod Lepanto, kiedy to Sabaudczycy, Genuieńczycy, Wenecjanie i Hiszpanie pod sztandarem Juana de Austii rzucili się do walki z flotą osmańską. Więcej mieliśmy jej w pokojowej epoce oświecenia, gdy Wolter grywał w pałacu Sanssouci w karty z Fryderykiem II, a Diderot bawił u Katarzyny Wielkiej w Sankt Petersburgu. Więcej widzieliśmy Europy w czasach Pasażerów z dyliżansu, gdy Clara Zetkin poruszała serca robotników francuskich, a Jean Jaurès kongres niemieckich socjalistów. W 1950 r. we francuskich liceach uczyło się pięć razy więcej Rosjan i Niemców niż dzisiaj, Francja była wówczas bardziej włoska, a Włochy bardziej francuskie niż obecnie. Teraz każdego dnia śledzimy perypetie amerykańskiej polityki wewnętrznej, przejmujemy się relacjonowanym w telewizyjnych wiadomościach kaszlem Hillary Clinton w czasie kampanii wyborczej, a szkoda nam 10 sekund, by zobaczyć, jak zmienia się sytuacja w Rumunii czy w Czechach. Satelity telekomunikacyjne oraz nasze intelektualne lenistwo sprawiły, że Nowy Jork jest dla nas za miedzą, Warszawa na dalekich stepach, a Moskwa na Kamczatce.

W CIENIU STALINA I FRIEDMANA

Donald Tusk, przewodniczący Rady Europejskiej, który do różnych rozmówców zwraca się w języku globish, zdaje się mniej europejski niż cesarz Karol V, który z Bogiem rozmawiał po hiszpańsku, z kobietami po włosku, mężczyznami po francusku, a do swego konia mówił po niemiecku. Na 30 unijnych agencji, 21 ma stronę internetową wyłącznie po angielsku. Prawo pracy we Włoszech nazywa się Jobs Act. Jest coś pociesznego w widoku brukselskich urzędników porozumiewających się w języku, który po Brexicie będzie językiem ojczystym jednego tylko członka Unii, Irlandii. Tym, którzy ubolewają, że nasza rozgadana Kartagina staje się czymś w rodzaju większej Szwajcarii,

postawiłbym właśnie tę konfederację za przykład – jej mieszkańcy mówią biegle trzema, a nawet czterema językami. Tacy powinni być Europejczycy.

Oczywiście nikt nie mógł przewidzieć, kiedy zaczynała się ta nieudana odyseja, że Europa Środkowa i Wschodnia staną się, po odzyskaniu wolności, czymś w rodzaju Dzikiego Zachodu, gdzie sex shopy i McDonald'sy zastąpią dawne księgarnie i knajpy, gdzie Pentagon wprowadzi swoich doradców, a CIA założy swoje tajne więzienia. Ani tego, że płodne napięcie między łacińskością a germańskością rozwiąże się (po rozszerzeniu Unii do 27 członków) na korzyść Niemiec, które tymczasem – ekspiacja i odkupienie zobowiązują – staną się najbardziej zamerykanizowanym społeczeństwem Europy (prymat ekonomii, urbanizm, ustrój federalny, aktywizm sędziowski, itd.). Może to prawda, że kot decyduje, jak dokona się los ptaka, nikt jednak nie mówił, że zdrowy odruch obronny przed polityczną tyranią 30 lat później doprowadzi nas do – owszem, łatwiejszej do zniesienia – tyranii ekonomicznej. Jak gdyby „nie” powiedziane Stalinowi oznaczało „tak” dla Milтона Friedmana.

Thomas Barnett, strateg, który wykładał w Naval War College nim zaczął pracować w Pentagonie, namawiał ostatnio Stany Zjednoczone, by nie zniechęcając się jedną przegraną wojną w Iraku, dalej narzucały całemu światu swoje DNA, „kod źródłowy współczesnej globalizacji”, czyli swój model gospodarczy, rozprzestrzeniający się samoistnie, dzięki „efektowi domina” z jednej klasy średniej na drugą. „Rzecz już nie w tym – przekonuje – by Ameryka rządziła światem, lecz w tym, by cały świat stał się Ameryką”. Jeśli chodzi o Europę, możemy go uspokoić – to się udało.

Autorstwo: Régis Debray

Tłumaczenie: Anastazja Dwulit

Źródło: Monde-Diplomatique.pl